

Tym razem w pociągu do Agry spotkałem młodego mężczyznę związanego z organizacją SPICMACAY, najbardziej zasłużoną w szerzeniu muzyki klasycznej wśród hinduskich studentów. Zналиśmy się już z widzenia, lecz nie poznaliśmy się od razu. Wyjeżdżałem na dwa dni przed Holi, zatem były ogromne problemy z nabyciem biletu. Gdy już udałem się na dworzec, okazało się, iż część pociągów jest odwołana. Przede wszystkim te, które jechały w kierunku Mumbaju. Chodziło zapewne o jakieś strajki. Co jakiś czas któraś z indyjskich kast okazuje swoje niezadowolenie blokując ulice, a w ekstremalnych wypadkach nawet tory. Nie dziwię się ich niezadowoleniu. Choć w indyjskiej konstytucji nie ma już miejsca na kasty i związaną z tym dyskryminację źle urodzonych, to nadal istnieją one w kulturze i społecznej świadomości.



Mój pociąg z kolei był przesunięty o godzinę i pół, włączyłem się zatem po Pahar Ganju w poszukiwaniu nowej kurty, gdyż swego czasu odkryliśmy sklep prowadzony przez Radzastańczyków, gdzie można je było nabyć tanio i z dobrego materiału. Sklepy w przydworcowej dzielnicy coraz bardziej jednak eksponowały europejskie ubrania, gdyż po częściowej restauracji ta część miasta zaczynała stawać się modnym miejscem zakupów dla samych delhijczyków. Miałem naprawdę sporo czasu, więc w końcu znalazłem to czego szukałem. Po drodze zaczepił mnie jakiś astrolog zachwalający w nadal szarmancki sposób moje cnoty, które już za dnia wyczytał z gwiazd. Jako, że był bardzo miły, odmówiłem mu wystawienia mi horoskopu w równie kurtuazyjny sposób. Mając jeszcze godzinę, zerknąłem przelotnie na dworzec i zorientowałem się, że mój pociąg już tam stoi. Okazało się jednak, że drzwi do mojego wagonu nie były jeszcze otwarte, więc czekałem cierpliwie wraz

z innymi pasażerami popijając herbatę z mlekiem. Wpuszczono nas na minutę przed odjazdem, po czym przełożono odjazd jeszcze o pół godziny. Gdy wreszcie ruszyliśmy, pociąg poruszał się swoją trasą rekordowo szybko. Wskoczyłem w biegu na stacji Raja ki Mandi, położonej najbliżej Central Hindi Institute. Konduktorzy spojrzeli na mnie z ogromnym uznaniem, gdyż pociąg zatrzymywał się jedynie na Agra Cant.

Kaja ogromnie ucieszyła się, że w końcu udało mi się dotrzeć. Na tę noc miałem załatwione spanie w męskim akademiku, w pokoju gościnnym nie używanym od wieków. Obok niego na korytarzu znajdowała się nigdy chyba nie myta toaleta, zarośnięta pajęczynami, o wodzie pochodzącej z jakiegoś zbiornika, którego woda stała od kilku lat, czekając na to, aż ktoś umyje nią zęby. Nie marnowałem jednak czasu na zabiegi higieniczne i udałem się na placyk przy fontannie, gdzie spotkałem kilka osób z CIH, no i przede wszystkim Kaję, trzymaną w niewoli żeńskiego akademika. Był wieczór, Włoszka Clementina obchodziła właśnie świętą zjednoczenia Włoch za pomocą rarytasów przesłanych jej przez rodzinę z ojczyzny. Była więc oliwa, parmezan, specyficzne wędliny etc. Po Sri Lance trudno mi było uwierzyć w tak doskonałe jedzenie. Przy niej zgromadziło się trochę naszych znajomych, dzięki czemu zauważyłem, iż od ostatniego czasu wzrosła ilość związków damsko męskich, rozpadły się też liczne stare, pozostawione na indyjski rok w dalekich krajach studentów. Clementina też miała jakiś problem dotyczący tego ostatniego zagadnienia, zatem obchodziliśmy włoską rocznicę w nieco ironiczny sposób. Skora do wesołej impulsywności studentka z samego dolnego czubka włoskiego buta podkreślała także, iż południowi Włosi, choć zostali podbici przez tych z północy, niezbyt są przez nich teraz chciani, więc co tu na dobrą sprawę świętować?

Nazajutrz miało się odbywać Holi CIH, zobaczyłem więc znacznie więcej osób. Zanim udaliśmy się z Kają, aby kupić białe stroje i potrzebną do święta barwną amunicję, spotkaliśmy się przed fontanną, gdzie mogłem się przywitać z

lankijskimi studentkami w ich języku, co niezwykle je ucieszyło. Ja po dwóch miesiącach na Lance, spędzonych na przebywaniu cały czas z jej mieszkańcami, miałem wrażenie, iż pochodzące z tego kraju studentki są niemal moimi rodaczkami. Lecz one nadal pozostały skromne i nieśmiałe, choć bardzo ucieszone moją nowo nabytą lankijskością. Takshilę, siostrę Kowshalyi, spotkałem dopiero później. Przez ostatnie miesiące pracowała ona bardzo dużo i stała się nie lada gwiazdą różnych występów i konkursów CIH, pomimo rozpaczy Tushity nad jej wiedzą dotyczącą teorii i historii teatru, a z tego co wiem, były też tego typu konkursy teatralne. W dziedzinie tańca jednakże Takshila rządziła niepodzielnie, w dużej mierze dzięki aktorskim umiejętnościom. Ja z kolei opowiadałem jej głównie o Nalinie, którego twórcza aktywność w tym czasie musiała wzbudzić u każdego pełną zachwyty zadumę. Jak się też okazało, mieliśmy podobny problem z Kaalem. Otóż, wobec nowych projektów, Nalin zapominał o wszystkim innym. Ja ostatecznie nie wybrałem się z nim ponownie do Hatton, ani też do Negombo, Takshila zaś narzekała na brak rozmów z nim, oraz na to, iż najprawdopodobniej, gdy wróci wreszcie do kraju, przez kilka tygodni nie zobaczy się z nim, gdyż ten będzie całkowicie zaangażowany w projekt teatralny w miejscu dalekim od Colombo. Dla nas obojga oznaczało to gwałtowną zmianę osoby towarzyskiej, serdecznej i pomocnej, wspaniałego kompana, w unikającego jakichkolwiek obocznych czynności, zapatrzonego w swój wewnętrzny świat milczka. Gdy tak rozmawialiśmy, przekonywałem się jak bardzo podobna jest Takshila do swojej siostry Kawshayli.



W sansthanie uczyła się zresztą imienniczka Kawshalyi, wysoka, młoda, pewna siebie profesjonalna tancerka Kowshalya, daleka zresztą znajoma moich Lankijskich przyjaciół. Dopiero teraz zorientowałem się, iż jednak do Agry przyjechała jedna lankijska Tamilka i była to właśnie ona. Swoją drogą, jakiś czas temu nauczycielka nazwała w złości Lankijskie dziewczyny tygrysy i wszystkie popłakały się uderzone boleśnie tym nawiązaniem do trapiących ich wyspę do niedawna terrorystów, uważających ich naród (poza Kowshalyą) za największego wroga. Jak mi wyjaśniała Kaja, relacje pomiędzy Lankijkami w CIH a innymi studentami należały do szczególnie napiętych. W przeciwieństwie do studentów zachodnich, dziewczyny z wyspy Rawany uważały studia w Agrze za nie lada zaszczyt, podnoszący ich rangę wśród znajomych i na rynku pracy. W związku z tym rywalizowały ze sobą i z innymi, angażując się w liczne dodatkowe projekty po to, by zostać zauważonymi. Tamilka

Kowshalya wiodła prym w tej konkurencji.

Podczas Holi jednakże, jako jedyna z Lankijek wyraźnie unikała posypywania się kolorami. Gdy w ruch poszły pistolety na farbę, schowała się wręcz w koncie, choć była bardzo wysoka jak na mieszkankę Subkontynentu. Swój portfel trzymała w dłoni, aby woda go nie zmoczyła. Pomyślałem sobie, być może niesłusznie, iż podobnie jak wielu Lankijczyków była biedna i nie mogła zmienić swojego codziennego ubrania na białe, przeznaczone specjalnie do Świąta Kolorów, jak my to zrobiliśmy. Kowshalya nie pochodziła z północy wyspy, lecz z górskich okolic Hatton, całkiem zatem możliwe, iż była biedną „plantacyjną” Tamilką, nie zaś potomkinią zamożnych niekiedy Tamilów z północnej części wyspy, albo z regionu stołecznego.

Atmosferę świętowania na uczelni cechowało pewne napięcie. Bharat Singh, dyrektor sekcji zagranicznych studentów, powszechnie uchodzić zaczął za szaleńca. Ciągłe zmieniał zdanie, mnożył zupełnie irracjonalne trudności, prawdopodobnie oszczędzał też przesadnie na funduszach otrzymywanych z ministerstwa na ten projekt. Tradycyjna autokarowa wycieczka szkoły w związku z tym miała się nie odbyć. Jedzenie w studenckiej kantynie było tak podłe, iż w końcu studenci zbuntowali się. Ustalono, iż sami mają się zająć zakupami półproduktów, a nawet gotowaniem, jeśli kucharz nie da sobie rady z nowymi recepturami. Rzeczywiście, okazało się, iż źle opłacany, sansthanowy szef kuchni rzeczywiście nie może wydobyć się swoją kulinarną wyobraźnią poza najprostsze potrawy z ziemniaków. Produkcją żywności zajęła się więc Takshila wraz z koleżankami. Pomimo swoich lankijskich korzeni, potrafiła ona smacznie gotować. A może po prostu była otwarta na rady koleżanek... Poznanianka Ania zajęła się z kolei robieniem zakupów. Okazało się, iż wcześniej wątpliwe fundusze spożywcze były wydawane w drogim supermarkecie Big Bazar. Chodziło zapewne o to, iż otrzymywało się wtedy rachunki, co ułatwiało dyrekcji księgowanie działalności szkoły. Ania, obdarzona poznańską oszczędnością i polskim sprytem, szybko

znalazła targowisko, gdzie wszystko posiadało niższe ceny i lepszą jakość. Targowała się przy tym do upadłego. Niestety, duży natłok obowiązków w szkole uniemożliwił dziewczynom stałe sprawowanie tej funkcji i jedzenie wróciło do smutnej normy. Dla mnie jego poziom nie był aż tak niski po Sri Lance i ku zgorszeniu wszystkich zajadałem się, aż mi się uszy trzęsły.

Holi w Centralnym Instytucie Hindi przebiegało miło, lecz bez szczególnej serdeczności. Program przygotowany przez chińskich studentów przy czynnym współudziale uroczego Taja, Weetawata, przebrzmiał bez echa. Azjatycki team wymyślił sobie, iż zawiesi na szyjach wykładowców zabawne naszyjniki z ziemniaków, ciapati (placków chlebowych), chilli, stron zeszytów i książek etc. Owe dekoracje miały nawiązywać do cech nauczycieli. Jeden z nich, który nie narzekał raczej na chudą sylwetkę, wczuł się w zabawę i zaczął się zajadać plackami z naleśnika. Jednakże większość studentów zajęta była planowanymi na przedłużony weekend wyjazdami. Nawet kolory sypiące się zewsząd tylko na chwilę wzniecały iskrę radości w oczach gości. Jedynie Weetawat, który nota bene nie krył swojego homoseksualizmu, zdecydowanie świetnie się bawił tym świętem miłości. Jak się dowiedziałem od Kai, był on (obok niej) jedną z osób najbardziej zadowolonych z pobytu w sansthanie.

Meksykanin Jorge był wyraźnie struty brakiem postępów w nauce. Do Indii został wysłany przez ambasadę jako jeden z pierwszych obywateli tego kraju mających poznać arkana hindi. Bezpośrednią przyczyną był alternatywny teatr współprowadzony przez przyjaciół i krewnych Jorge, a zapatrzony przy tym między innymi w Grotowskiego i jego wschodnie fascynacje. Jedną z teatralnych współpracowniczek Meksykanina tańczyła znakomicie Odissi, choć Indie jako takie stanowiły również dla niej odległą abstrakcję, o ich językach nie wspominając. Teraz Latynos borykał się z nader trudną sytuacją – z jednej strony ambasador mailował do niego proponując szerokie wsparcie na kolejnym roku studiów, z drugiej posługiwanie się hindi

okazało się ogromnie trudnym wyzwaniem.

Gdy zabawa zaczęła dobiegać końca, byliśmy tak kolorowi, iż trudno było rozpoznać nasze twarze. Na zewnątrz bawili się niscy szczeblem pracownicy uczelni, czyli sprzątacze, portierzy etc. Jeden z nich został wzięty na ręce przez innych i wrzucony do zbiornika fontanny, który nie wyglądał zbyt ponętnie zważywszy na to, iż chyba nigdy go nie czyszczono. Nieudany posąg ojca założyciela sansthanu spoglądał na te ekscesy z wyraźną obojętnością, ja zaś jak zwykle zapatrzyłem się na przeżarty rdzą przedpotopowy autobus Taty, który nawet na Sri Lance wzbudziłby sensację.

Spakowaliśmy się z Kają, każde z nas osobno, gdyż wstęp do żeńskiego akademika był mi surowo zakazany z uwagi na płęć. Musiałem na nią chwilę poczekać, więc wspiąłem się do pracowni internetowej w męskim akademiku i wygłosiłem obszerny monolog na temat lankijskiej oceny polityki zagranicznej Indii Bułgarowi Świetłanowi. Nie wydawał się tym zupełnie zdruzgotany, zatem nie oszczędzałem powietrza w płucach. Tyle czasu spędziłem wśród mieszkańców Subkontynentu, iż odczuwałem niekiedy gorącą potrzebę rozmów z Europejczykami.

Na dworzec autobusowy pojechaliśmy po części miejskim autobusem, których istnienie Kaja powoli odkrywała. Był to całkiem nowoczesny i wygodny pojazd, jednakże nigdy nie sprzątny. Miał niestety szyby, które, gdy nigdy nie są myte, stają się przeszkodą dla doznań płynących z podziwiania krajobrazów. Po drodze dyskutowaliśmy z Kają nad zwartością Agry. Ja uważałem, iż jest całkiem miejska i zwarta, moja lepsza połowa upierała się jednakże przy tym, iż jest niestety zlepkiem rozrzuconych bez ładu i składu centrów. Trasa autobusu przemawiała tym razem na moją korzyść.

Na dworcu autobusowym znaleźliśmy bez trudu nasz autobus. Jechał do Jaipuru, lecz my wysiadaliśmy wcześniej, w Bharatpurze. Naszym celem był Park Narodowy Keoladeo, mający nam zapewnić pierwszy kontakt z naprawdę dziką indyjską



przyrodą, o którą w przeludnionym kraju nie jest łatwo. Autobus wjechał na płatną autostradę, do pewnego stopnia kolizyjną, tak jak wszystkie tego typu drogi w Indiach. Ku mojemu zdumieniu szosa była niemal pusta, otaczały nas też bardzo słabo zurbanizowane okolice. Mieliśmy jechać tylko godzinę i dziesięć minut, lecz poruszyliśmy się całkiem szybko. Bharatpur należał już do Radżasthanu, do którego wybierałem się po raz pierwszy. Na jakiś kwadrans przed kresem naszej podróży, w zapadającym mroku, ujrzyliśmy potężne mury. Było to Fatehpur Sikri, gigantyczne miasto wzniesione przez cesarza Akbara u grobu mistyka Chistiego, które wybitny władca opuścił wraz z mieszkańcami po trzydziestu latach z niezbadanych przyczyn. Zostały jedne z największych na świecie ruin, do dziś świadczące o geniuszu wielkich architektów światłego władcy. Tym razem jednakże z trudem odwróciliśmy oczy od nader kuszącego widoku, bowiem cel naszej podróży był tym razem inny.

Gdy wysiedliśmy, spojrzałem ze zdumieniem na Kaję, która znała już fort w Bharatpurze, lecz nie zwiedziła jeszcze Parku Keoladeo. Pierwszy przystanek w tym dawnym, przygranicznym mieście Radżputów wyglądał jak szczere pole zmieszane z autostradą i przydrożnymi hotelami. Ciężko było uwierzyć, iż niecały kilometr stąd znajduje się brama do parku wpisanego na listę dziedzictwa UNESCO. Szybko znaleźliśmy hostel polecony nam przez koleżanki Kai z CIH. Panowała w nim rodzinna atmosfera. Spodobały mi się dziedzińce i werandy z podobnymi do łóżek siedziskami, na których mógł się zdrzemnąć gość nie mogący znieść zaduchu zamkniętego wnętrza w upalny dzień. Rozmawialiśmy tam sobie wesoło, nad nami zaś wisiał wielki, indyjski księżyc.

Postanowiliśmy się przejść do miasta. Droga do niego wydała mi się dłuższa, niż była w swej istocie, a to dlatego, iż wiodła przez słabo zabudowane pustkowia przypominające peryferie jakiegoś amerykańskiego miasteczka. Miasto trzymało się nadal linii murów obronnych, które od naszej strony

zostały wyburzone. Tym mniej mogliśmy podziwiać Mathura Darbazę, czyli „Bramę Madhury”. Po raz pierwszy zetknąłem się na żywo z architekturą Radżputów, która w baśniowy i asymetryczny sposób nawiązywała do eleganckiej, przejrzystej i monumentalnej sztuki mogolskiej. Nic w tym dziwnego. Radżputowie byli głównymi hinduistycznymi sojusznikami władców mogolskich i czerpali mody od swoich suwerenów. Choć ich wartość bojowa była znacznie niższa, niż samych Turków, zapewniali oni władcom o korzeniach muzułmańskich pewne uznanie w oczach politeistycznej większości. Na szczęście dla Indii, większość Mogołów miała bardzo wolnomyślicielskie podejście do religii swoich ojców i nie koniecznie się z nią utożsamiała. Za bramą, o późnej już nocnej godzinie, nie działo się nic. Może dzięki temu lepiej widać było nakładające się na dawny plan urbanistyczny nowsze budynki, niekiedy przyłączone do tych pochodzących z XVII i XVIII wieku.

Nazajutrz zamówiliśmy śniadanie i czekaliśmy na nie ogromnie długo. Odkryliśmy też, iż w hostelu mieszkają też dwie młode, białe turystki, najpewniej pochodzenia anglosaskiego. Na dole trwały już przygotowania do posiłków na dalszą część Holi, które właśnie się zaczęło. Dopiero następnego dnia, na Dulendi, miała nastąpić oficjalna bitwa kolorów. Chrześcijański śmigus – dyngus wziął się z podobnej, politeistycznej tradycji. Obecnie Holi uchodziło głównie za święto miłości, sławiące pary zakochanych bogów, takich jak Kriszna i Radha, czy Sziwa i Parwati. W rzeczy samej, na przedłużeniu naszej uliczki trwały już przygotowania związane ze świątynią Sziwy. Przed nią usypano wielki kopiec z drewna i krowiego kału, który teraz płonął i wierni nieśli ogień do swoich domów. Obdarzony nienajlepszym głosem kapłan intonował hymny do boga – niszczyciela, towarzyszył mu zaś nader udany akompaniament bębnów, syntetyzatora i harmonium. Kucharz najpewniej przepadł w tej świątyni na półtorej godziny, uczyniliśmy mu zatem dość łagodne wyrzuty, po których padł niemal na kolana, aby nas przeprosić. Natychmiast przekonaliśmy go, iż nie ma problemu i poprosiliśmy, aby po

prostu na przyszłość szczerze poinformował, iż nie ma czasu. Jedzenie, które w końcu przyrządził, miało znakomity smak.

Okazało się, iż brama do parku znajdowała się rzeczywiście nieopodal naszego hotelu. Bilety okazały się dość drogie, na szczęście Kai udało się wywalczyć indyjską cenę. Pożyczyliśmy rowery i tak oto miałem okazję pierwszy raz w życiu poruszać się na tym miłym pojeździe po Indiach. Oczywiście mój rower niemal na samym początku złapał gumę, zatem go wymieniłem. Kaja miała mniej szczęścia, gdyż nóżka od roweru zaczęła jej opadać dopiero w głębi Keoladeo. Z początku otaczały nas pejzaże sawanny, na którą wprowadziła się niedawno tygrysica. Widać było pasące się jelenie, antylopy i błękitne krowy. Nigdzie nie było ludzi, natomiast aż po horyzont otaczała nas trawa i piękne zagajniki. Wrażenia swobody oraz przestrzeni nie miały sobie równych. Czułem się tym całkowicie upojony. Kaja nie wiedziała co zrobić. Czy pędzić przed siebie rowerem, czy też zatrzymać się co rusz i robić zdjęcia. Po dłuższej jeździe wjechaliśmy w las, później zaś przed naszymi oczami otworzyły się gigantyczne mokradła, poprzedzone ich maleńkimi oczkami wśród sawanny. Pośród bagien znajdowały się też mniejsze i większe jeziora, zakrywała je jednakże całkowicie gęsta rżesa. Z niej wyrastały małe zagajniki i niezwykle kopce, tudzież wyspy. Wszędzie były tysiące najbardziej egzotycznych ptaków wodnych, małych i wielkich. Kaczki, pelikany, czaple, błotne dziwołagi, barwne papużki i pospolite tutaj pawie, nadlatujące z suchszych obszarów. Całe powietrze rozbrzmiewało od najbardziej niezwykłych ptasich głosów i szumu skrzydeł. Pejzaż wydawał mi się zupełnie fantastyczny, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś mi powiedział, iż jestem na innej planecie. Drogę przebiegały co jakiś czas hieny i szakale, które z braku innych drapieżników porzuciły padlinożerność i zajęły się świeżą, ptasią dietą. Nigdy nie widziałem takich chmar dzikich zwierząt na wyciągnięcie ręki.

Poruszaliśmy się po groblach, niemal całkowicie pożartych przez dziką przyrodę. Jak się okazało, nieświadomym twórcą

Parku Keoladeo był radża Bharatpuru, Suraj Mal. Ów władca, zainspirowany oświeceniowymi prądami, postanowił pod koniec XVIII wieku nawodnić znaczne obszary swojego półpustynnego kraju, spiętrzając dwie niezbyt wielkie rzeki. Zamiast jednak przynieść pożytek swoim chłopom, a raczej Wajsiom, zamienił potężną połąć ziemi w dzikie, nieprzebyte bagna, na które sprowadziła się wkrótce dzika przyroda Subkontynentu. Gdy ziemię Suraja przejęli Anglicy, uznali ją za znakomity teren do polowań na kaczki, chroniąc go przed dalszymi próbami zagospodarowania. W niepodległych już Indiach uczyniono zeń Park Narodowy, który szybko został wpisany na listę UNESCO. Potwierdzeniem tej historii były tutejsze kaczki, jedyne ptaki, które bały się ludzi.

Nasza droga rozgałęziała się w sercu tego królestwa dzikiej przyrody. Znajdowała się w nim skromna i na poły opuszczona świątynka boga Keoladeo, przypominająca dwukondygnacyjną altankę nakrytą kopułą. Obok niej drzemał na ławeczce lokalny kapłan. Dowiedziałem się, iż słowo „Keoladeo” stanowiło jeden z przydomków Sziwy. To ten właśnie bóg uznawany jest w hinduizmie za szczególnie odpowiedzialnego za zwierzęta, choć przypuszczam, iż mała świątynia nadała nazwę całym mokradłom z uwagi na to, iż nie było tutaj żadnych innych budowli. Wyruszyliśmy ścieżką na prawo. Wedle mapy, można było nią zatoczyć koło, lecz jej część została zamknięta. Postanowiliśmy pozostać wierni mapie, lecz w suchszej już części parku usłyszeliśmy porykiwania tygrysicy, zatem postanowiliśmy wrócić z powrotem, napawając oczy widokami z bocznych grobli.

Gdy znaleźliśmy się znów koło świątyni, postanowiliśmy wziąć przykład z tutejszego bramina i położyliśmy się na przypominającej wielki stół kamiennej ławie, tuż przy samych bagnach. Okazało się to znakomitym pomysłem na zwiedzanie, gdyż ptaki nie bały się nas wcale i bez żadnych oporów wędrowały obok nas. Nad nami było wielkie drzewo, z którego spoglądał na nas wielkooki puszczyk. Po jakimś czasie udaliśmy

się drugą drogą, gdzie w pewnym momencie przejazd zaczęły utrudniać odchody krów. Myślałem, iż tutejsze bydło jest ustępstwem strażników na rzecz okolicznych chłopów, lecz okazało się, iż jest ono dzikim elementem lokalnego ekosystemu. I rzeczywiście, staliśmy się świadkami przemarszu całego stada przez naszą drogę. Gdy ilość byków stała się tak duża, iż wzbudziłaby niepewność niejednego torreadora, postanowiliśmy się wycofać po brytyjsku. Jednakże stado wyłaniało się coraz szybciej zza trzciny, drzew i zarośli. Poczuliśmy się jak wyspy otoczone muczącym i potencjalnie groźnym morzem. W pewnym momencie musieliśmy minąć wielkiego byka wraz z jego synami i postanowiliśmy to zrobić na pełnej prędkości naszych rowerów. Oczywiście bcykl Kai zepsuł się tuż przed rogami krowiego patriarchy i przeżyliśmy dość groźną chwilę. Na szczęście byk przestraszył się bardziej niż my i zszedł z grobli na pobliską łąkę.

Spędziliśmy w Parku Keoladeo jakieś siedem godzin. Pod wieczór byliśmy porządnie głodni. Nasz kucharz przyniósł nam kolację w rekordowym tempie i zachowywał się przy tym niemal jak samuraj mający zamiar popełnić sepuku. Odwiedliśmy go oczywiście od samobójczych myśli, żałując, że wcześniej zrobiliśmy mu jakąkolwiek uwagę. Nazajutrz zastaliśmy na jednym z uroczych tarasów nasze zachodnie sąsiadki, które czekały już trzy godziny na śniadanie. Były naprawdę wściekłe, poszliśmy zatem do innego hotelu coś zjeść. Po kilku nieudanych próbach znaleźliśmy w końcu czynną, hotelową restaurację, w której jedzenie było naprawdę pyszne. Wzbogaceni o nowe kalorie udaliśmy się na zwiedzanie Bharatpuru. Nazwa „Bharatpur” oznacza Miasto Bharaty. Jak jednakże wyjaśniła mi Kaja, chodziło tu o nowożytne imię „Bharat”, nie zaś o znanego z eposu Mahabharaty Bharata, który stworzył nową dynastię i stał się tożsamy z określeniem Hindusa w językach subkontynentalnych hinduistów. Różnica tkwiła w zastosowaniu krótkiej zamiast długiej samogłoski.



Wojna kolorów szybko się skończyła w mieście. Jego objęta murami starówka była bardzo zaniedbana, lecz malownicza. Podobnie fort otoczony wyschniętą fosą i okolony gigantycznymi murami. Wewnątrz dawnej placówki radżów pojawiło się trochę nowych szkół i świątyń, lecz dawna świetność nadal była widoczna. Część pałaców w najlepszym stanie była udostępniona za dopłatą. Miło się spacerowało po wielkich bastionach, na których w XIX chyba wieku wzniesiono świątynki Sziwy. Tu też po raz pierwszy widziałem kobietę sadu, z włosami zawiązanymi w kok a la Sziwa i podróżną miseczką.

Gdy wróciliśmy do hotelu, zmartwiony kucharz, cały wymazany farbami, stwierdził, iż nasze sąsiadki uciekły z hotelu nie płacąc ani za noclegi, ani za posiłki. Nie widzieliśmy, czy są notorycznymi oszustkami, czy też nie były w stanie zaakceptować hinduistów zachowujących się w mało zorganizowany

sposób w czasie jednego z ich największych świąt. Było nam przykro, lecz nie pozostało nam nic innego, jak wzruszyć ramionami i zamówić kolację, na którą nie czekaliśmy wiele, gdyż święto kolorów dobiegło końca.

[Przeczytaj inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)